POLSKA AGENCJA TELEGRAFICZNA
PAT
BIULETYN POLSKI

[42]

Nr. 8 12 maja, 1943.

"JACK" SYMBOL PSIEJ WIERNOSCI WCIAZ CZEKA NA SWOJEGO PANA...

Pies, nieraz prosty kundel, należy do najczęściej spotykanych "maskot" w każdym wojsku wszystkich krajów i czasów. To też na lotnisku w NN, jak w tylu innych ośrodkach RAF-u, pełno włóczy się psów najrozmaitszych ras i kształtów. Taki pies bywa "maskotą" całego skrzydła, jakiegoś dywizjonu, a nawet poszczególnej załogi. "Jack" jednak, którego wszyscy na lotnisku NN otaczają specjalnie troskliwą opieką, zachowuje się jak bezosobista, z nikim i niczyim losem niezwiązana "maskota". Zachowuje się w ten sposób od pewnego czasu dopiero, dawniej bowiem...

Niezwykła jest historia "Jacka", psa pochodzenia szkockiego, którego jakaś młoda "milady" ofiarowała na szczęście pewnemu pilotowi polskiemu. Pilot cieszył się otrzymanym szczeniakiem - kulką z błyszczącej sierści, o parzo błyszczących ślopi - jak najcenniejszym darem: niańczył go pieczołowicie, karmił smoczkiem z butelki; starannie czesał jego gęsty włos i miewał do niego długie przemówienia. Pies przyjmował opiekę i pieszczoty z niewątpliwą przyjemnością, ale jako należną mu daninę. Instynktem odczuł siłę przywiązania, które żywił dla niego pilot, i odpłacał mu wzajemnością, pozbawioną jednak wszelkiej uniżoności w samym już początku oparł stosunek na podstawie "równy z równym".

Czas płynął i z niezgrabnego szczeniaka wyrósł zwinny "Jack", który na krok nie odstępował swojego "przyjaciela", tyranizując go swoim uczuciem w sposób nieraz dla pilota nawet kłopotliwy. Przejawiało się to zwłaszcza wtedy, kiedy pilot musiał spełniać swoje obowiązki służbowe, które pociągały za sobą czasową "separacje" dwóch nierozłącznych przyjaciół. "Jakc" uważał, że dzieje mu się krzywda i po swojemu przeciwko niej protestował: rzucał się na samolot, warcząc z głęboką nienawiścią, szczekał z całych sił, słysząc warkot motoru, a potem żałosnem skamlaniem żegnał oddalający się aparat. Miał na tyle rozwiniętą pojętność, by odczuwać, że rozłąka jest chwilowa, nie opuszczał przeto już lotniska, kręcąc się niespokojnie po nim, czekając, zły i zdenerwowany, powrotu dywizjonu. Galopem biegł do lądujących maszyn, szukając swojego"przyjaciela", aby z radosnym skowytem rzucać mu się w ramiona. Zasypiał następnie, zmęczony wielogodzinnym czekaniem w objęciach pilota, otwierając tylko od czasu do czasu jedno oko, jak gdyby chcąc upewnić się, że znów są razem.

Pewnego jednak dnia "Jack" napróżno obiegł wszystkie aparaty lądującego dywizjonu - z żadnego nie wyszedł jego przyjaciel polski.

"Jack" nie dowierzał swoim oczom: przeszukał całe lotnisko, zajrzał do każdego zakątka hangarów, kilka razy był w kasynie oficerskim - jeszcze raz wracał wszędzie, obwąchując wszystko i wszystkich. Nie znalazł - nie wiedział, że znaleść nie będzie mógł. Już nigdy...

"Jack" zmienił się nie do poznania. Godzinami potrafił drzemać przy kominku oficerskiego kasyna, głuchy na wołania, nieczuły na pieszczoty. Ale za każdym razem, kiedy rozlegał się warkot powracających aparatów, pies, jak szalony, zrywał się na równe nogi i pędem biegł na lotnisko. Rozpaczny smutek ustępował miejsca gorącej nadziei - a może właśnie dzisiaj... I znów obszukiwał gorączkowo każdy aparat, i znów zaglądał do wszystkich zakamarków lotniska - i znów napróżno. Wracał z nisko opuszczoną głową, powoli włókąc zbiegane beznadziejnie nogi, i kładł się przed kominkiem. Tam bowiem zwyczaj miał siadywać jego przyjaciel polski - było to jego ulubione miejsce.

"Jack" czekał cierpliwie, wytrwale wiernie. Jak tylko pies to potrafi. Próbowano mu wytłómaczyć, że został sierotą. Słuchał perswazji angielskich i polskich, całym swoim zachowaniem okazując, że nie było argumentu, który zdołałby go przekonać, że to już na zawsze...

Pewnego dnia dywizjon polski otrzymał rozkaz przeniesienia się na inne lotnisko. Załogi postanowiły zabrać psa-sierotę. "Jack" zauważył jakiś niezwykły ruch na lotnisku i w kasynie. Nastała chwila wyjazdu - "Jack" znikł bez śladu. Jego miejsce przed kominkiem było puste. Po długich poszukiwaniach znaleziono go na lotnisku, gdzie aparaty zwykły były lądować. Stał nieruchomo.

"Jack, chodź tu! Jack, chodź z nami!". Pies popatrzał na wołających, zamachał ogonem, zaskamlał cicho, zrobił kilka kroków, a potem, jak gdyby zrozumiał już wszystko, powrócił na miejsce, gdzie zawsze oczekiwał swego przyjaciela polskiego...

Piloci spojrzeli po sobie. Z taką wiernością nie można i nie wolno walczyć. "Jack" został powierzony opiece świeżo przybyłego dywizjonu. Aby mógł dalej żyć nadzieją, że jego przyjaciel wróci...

"NEUTRALNI" SZWEDZI ŻYCZĄ INTERNOWANYM MARYNARZOM POLSKIM POWROTU DO WOLNEJ OJCZYZNY

Załogi trzech polskich okrętów wojennych, internowanych już czwarty rok w Szwecji, przebywają w małej mieścinie Strangnas, położonej nad malowniczym jeziorem Malaren. Żyłoby się w takim cichym i spokojnym Strangnas naszym "wilkom morskim" bardzo dobrze, zwłaszcza, że i ludność odnosi się do nich z niezwykle serdeczną sympatią, gdyby nie przymusowa bezczynność i tęsknota za wojną, które trawią dusze marynarzy polskich. Z uczuciem zrozumiałej zazdrości czytają oni wiadomości o bohaterskich wyczynach naszych kontr-torpedowców i łodzi podwodnych, walczących wspólnie z brytyjską marynarką wojenną. Czekać z rękami założonymi nie leży ani w temperamencie ani w skłonnościach Polaków, zdających sobie doskonale sprawę z tego, że właśnie teraz ważą się losy ich Ojczyzny. Starają się więc oszukać siebie samych - swoją niecierpliwość i swój smutek - jeszcze bardziej starannym i uroczystym przestrzeganiem polskich tradycyj, polskich zwyczajów, świąt i obchodów.

W tym roku, dla uczczenia święta Marynarki Polskiej, zorganizowali oni przedstawienie "Betleem Polskie" w miejscowej szkole. Szwedzk ludność Strangnas wypełniła do ostatniego miejsca salę - powtarzało się to 10 razy, a więc ile razy wystawiono "jasełka". Dialogi polskie były objaśnione przez jednego z marynarzy po szwedzku. Publiczność zrozumiała całą akcję i bawiła się doskonale, co wyrażało się częstymi wybuchami śmie i rzęsistymi oklaskami. -"Przecież to car moskiewski - omylić się nie można wcale" podziwia jakiś obywatel miasteczka w chwili, kiedy Herod uroczyście zasiadł na tronie. - "Już brakuje tylko trumienki dla Rommla" - dowcipkuje ktoś, patrząc na scenę, przedstawiającą palmy z piaszczystą pustką Ziemi Świętej. W głównej scenie do żłobka, którego strzegą husarz i kosynier, zbliża się internowany marynarz polski, rozbrojony, by smutnym, szczerze przejętym tonem wyrazić całą swoją tęsknotę za walką i ból bezczynnego żołnierza w godzinę walki o wolność Ojczyzny.. Cała sala śledzi z głębokim wzruszeniem ten monolog, którego wrażenie potęguje zjawienie się na scenie innego marynarza polskiego - w pełnym uzbrojeniu i z bandażem skrwawionym na czole, jako symbolu tych wszystkich co polegli na polu bitwy, aby Polska "nie zginęła" nigdy Szwedzi ze wzruszeniem wsłuchują się w dźwięki polskiego hymnu narodoweg

GESTAPOWCY POLUJA NA MIESZKANCOW WARSZAWY

Wiadomość o polowaniu na mieszkańców stolicy Polski, przeprowadzanym w biały dzień przez agentów Gestapo, - krótka i sucha wzmianka tej treści należy już dziś do stałych rubryk w całej wolnej prasie... Ludzie tak otrzaskali się z istnieniem tych "łapanek", że czytają o tym nie zdając sobie często sprawy z rozpaczliwego tragizmu samego faktu. Niejeden czytelnik posuwa się aż do podejrzywania takich wiadomości o tendencyjną przesadę propagandową. Niestety, rzeczywistość przedstawia się jeszcze bardziej ponuro, jak o tym świadczy poniższy opis, który ukazał się w jednym z tajnych czasopism polskich, dostarczonych do Londynu.

"Któregoś popołudnia na śródmiejskiej ulicy Warszawy pojawiły się dwie wielkie ciężarówki,które swoim wyglądem wzbudziły zaniepokojenie wśród przechodniów, jako nieomylna zapowiedź jakichś nowych okrucieństw. Wielkie, szare, kryte samochody niemieckie ustawiły się wówczas w poprzek ulicy i wyszli z nich umundurowani i uzbrojeni gestapowcy. Niespodziewane ich ukazanie się wywołało zrozumiały popłoch wśró przechodniów, którzy gorączkowo poczęli szukać jakiegoś schronienia, jasno zdając sobie już sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Wszelki te próby ratowania się były spóźnione: bramy domów zostały zatrzasnięte, wyloty ulic zamknęli Niemcy. Pułapka się udała... Gestapowcy przystąpili do obławy!

Tramwaje, które przed chwilą zdawały się być bezpiecznym ukryciem poszły na pierwszy ogień "łapanki": gestapowcy wtargnęli do nich i zaczęli brutalnie wywlekać wszystkich pasażerów - mężczyzn, kobiety, dzieci, kazać im ustawiać się pod ścianami domów. Chociaż przerażenie, ludzie jeszcze łudzili się nadzieją, że to skończy się na kilkudniowych robotach przymusowych w koszarach lub kopaniu rowów fortyfikacyjnych. Nie chcieli wierzyć, że wysłani zostaną do najgorszych obozów koncentracyjnych - że udają się w drogę, z której dla Polaków, w takich okolicznościach schwytanych, istnieje powrót już tylko w postaci... urny z popiołami.

strona trzecia

W tym roku, dla uczczenia Święta Marynarki Polskiej, zorgani-zowali oni przedstawienie "Betlejem Polskie" w miejscowej szkole. Szwedzka ludność Strangnas wypełniła do ostatniego miejsca salę - powtórzało się to 10 razy, a więc 10 razy wystawiono "Jasełka". Dialogi polskie były objaśniane przez jednego z marynarzy po szwedzku. Publiczność zrozumia-ła całą akcję i bawiła się doskonale, co wyrażało się częstymi wybuchami śmiechu i rzęsistymi oklaskami. -"Przeszedł to car moskiewski - czyli się nie można walić" podkreśla jakiś obywatel miasteczka w chwili, kiedy Herod uroczyście zasiadł na tronie. - "Już brakuje tylko trumienki dla [illegible]" - dowcipkuje ktoś, patrząc na scenę, przedstawiającą palmy i piaszczystą pustkę Ziemi Świętej. W głównej scenie do żłóbka, któ-rego strzegą huzar i kosynier, zbliża się internowany marynarz polski, rozbrojony, by smutnym, szczerze przejętym tonem wyrazić całą swoją tęsknotę za walką i ból bezczynnego żołnierza w godzinie walki o wolność Ojczyzny. Cała sala słucha z głębokim wzruszeniem ton scenki, którego wrażenie potęguje zjawienie się na scenie innego marynarza polskiego - w pełnym uzbrojeniu i z bandażem skrwawionym na czole, jako symbolu tych wszystkich co polegli na polu bitwy, aby Polska "nie zginęła" nigdy. Szwedzi ze wzruszeniem wsłuchują się w dźwięki polskiego hymnu narodowego.

[illegible] POLOWANIA NA MIESZKAŃCÓW WARSZAWY

"Informacje o polowaniu na mieszkańców stolicy Polski, przeprowa-dzanym w biały dzień przez agentów Gestapo, - krótkie i suche wzmianki tej treści należą już dziś do stałych rubryk w całej wolnej prasie... Ludzie tak otrzaskali się z istnieniem tych "łapanek", że czytają o tym nie zdając sobie często sprawy z przerażliwego tragizmu samego faktu. Niejeden czytelnik posuwa się aż do podejrzewania takich wiadomości o tendencyjną przesadę propagandową. Niestety, rzeczywistość przedsta-wia się jeszcze bardziej ponuro, jak o tym świadczy poniższy opis, który ukazał się w jednym z tajnych czasopism polskich, dostarczonych do Londynu.

"Któregoś popołudnia na śródmiejskiej jakiejś ulicy Warszawy pojawiły się dwie wielkie ciężarówki, które swoim wyglądem wzbudziły zaniepokoje-nie wśród przechodniów, jako niechybna zapowiedź jakichś nowych okru-cieństw. [illegible] samochody niemieckie ustawiły się wówczas w poprzek ulicy i wysiedli z nich umundurowani i uzbrojeni gesta-powcy. Niespodziewane ich ukazanie się wywołało zrozumiały popłoch wśród przechodniów, którzy gorączkowo poczęli szukać jakiegoś schronienia, jasno zdając sobie już sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Wszelkie te próby ratowania się były spóźnione: bramy domów zostały zatrzaśnię-te, wyloty ulic zamknęli Niemcy. Pułapka się udała... Gestapowcy przy-stąpili do obławy!

Tramwaje, które przez chwilę zdawały się być bezpiecznym ukryciem, poszły na pierwszy ogień "łapanki": gestapowcy wtargnęli do nich i za-częli brutalnie wywlekać wszystkich pasażerów - mężczyzn, kobiety, dzieci, każąc im ustawić się pod ścianami domów. Chociaż przerażeni, ludzie jeszcze łudzili się nadzieją, że to chodzi o kilkudniowych robotach przymusowych w koszarach lub kopaniu rowów fortyfikacyjnych. Nie chcieli wierzyć, że wyznaczeni zostaną do najgorszych obozów koncentra-cyjnych - że udają się w drogę, z której dla Polaków, w takich okoli-cznościach schwytanych, [illegible] powrót już tylko w postaci... urny z popiołami.

Na ulicy pojawił się rząd innych ciężarówek, do których jak bydło ładowali Niemcy tysiące schwytanych. W drodze więźniowie zaczęli wyrzucać pośiesznie skreślone ołówkiem na kartkach nazwiska swoje z adresem - kartki te, zbierane później, umożliwiły sprawdzenie nazwisk wielu aresztowanych.

Cały transport odstawiono do jednej z fabryk przedmieścia, gdzie policja przystąpiła do badania dowodów osobistych. Obsługę tramwajów, robotników gazowni oraz personel szpital uwolniono, gdyż nawet Niemcy wiedzą, że praca tych ludzi jest okupantom niezbedna. Reszta została zatrzymana. Wśród więźniów znajdowali się ludzie, którzy wyszli z domu na chwilę, by napić się filiżankę herbaty lub kupić papierosy - wyszli bez palt, licząc, iż wrócą zaraz do mieszkań czy biur. Badanie dowodów osobistych trwało dwa dni, które więźniowie spędzić musieli o głodzie i chłodzie, leżąc w nocy na gołej posadzce kamiennej. Z fabryk odstawiwiono wszystkich już wprost na dworzec kolejowy.

PSY NA USŁUGACH KATOW GESTAPOWSKICH

Przed kilku tygodniami obiegła całą prasę amerykańską i angielską wiadomość tak przerażająca, że nawet ludziom, już oswojonym z potwornym okrucieństwem Niemców, zdawała się ona być nieprawdopodobna. Mianowicie do Londynu nadeszły wieści, że na podwórzu słynnego więzienia warszawskiego, "Na Pawiaku" strażnicy zaszczuli na śmierć, przy pomocy specjalnie dla takich celów tresowanych psów, dwóch Polaków.

Niestety, i ta zbrodnia okazała się nietylko prawdziwa, ale nawet systematycznie przez Niemców stosowana. Potworne szczegóły na temat katowania Polaków przy pomocy psów, znajdują się w numerach czasopism tajnych, które otrzymał niedawno Londyn.

Psy-wilki, po przejściu odpowiedniej tresury, używane są w najrozmaitszych okazjach przez policję niemiecką w Polsce. Jedne pomagają t. zw."ekspedycjom karnym" wykrywać schowane po wsiach przez chłopów zapasy produktów rolnych. Inne pełnią funkcje dodatkowych strażników w obozach koncentracyjnych. Jeszcze inne, najdziksze i najsilniejsze, mają sobie powierzoną najstraszliwszą misję: katowania więźniów na rozkaz ich gestapowskich panów. Nie! to nie są propagandowe opowiadania! - to jest rzeczywiste oblicze "kulturalnych Niemców", jako twórców "nowego ładu"....!!

Jeden z wyższej rangi strażników, przydzielonych do pilnowania Polaków w obozie koncentracyjnym Oświęcimia, posiada młodego, bardzo silnego psa-wilka, który nieodstępnie towarzyszy swojemu panu w codziennych jego spacerach, dokonywanych celem kontrolowania pracy więźniów.

Gestapowcowi nudzi się jednak oglądanie wciąż tych samych scen - więźniów, maszerujących za drutami kolczastymi na robotę; wozów, transportujących trupy Polaków, zmarłych w ciągu nocy, do pieców krematoryjnych, kolegów swoich, wbijających w głowy - często dosłownie - żydów poszanowanie dla niemieckiego "Herren-Volku", etc. Gestapowiec tak długo wysila swój zbrodniczy umysł nad wynalezieniem jakiejś, godnej wyobraźni jego, rozrywki, aż w koncu znajduje ją.

Stary, schorowany więzień polski wlecze się wolnym krokiem, uginając się pod ciężarem zbyt wielkiego dla jego słabych mięśni kubla z wodą. Taka powolna praca stanowczo jest aktem sabotażu, wymagającego natychmiastowego ukarania. Gestapowiec rzuca cichym głosem krótki rozkaz - pies błyskawicznie szybko podbiega do starego więźnia, obala go jednym uderzeniem swoich potężnych łap i, już leżącemu, wgryza się w policzek, a potem czeka już na dalsze rozkazy, nie wypuszczając swojej ofiary i nie wyjmując kłów z jej ciała. Gestapowiec wydaje nowy rozkaz i pies posłusznie wraca do pana, porzucając broczącego krwią i krzyczącego z bólu więźnia. Rany, przez takie psy zadawane, albo wywołują zakażenie krwi, albo miesiącami się ropią - leczyć pokąsanych ofiar niema zwyczaju w Oświęcimiu!....

Wskutek wadliwej kanalizacji po każdym ulewnym deszczu, dłużej trwającym, wszystkie budynki obozu w Oświęcimiu są zalane wodą, których uprzątanie - w gorączkowo pośiesznym tempie - należy do normalnych obowiązków więźniów. Prace te wykonywują oni pod bacznym dozorem strażników, którym zależy na jaknajspieszniejszym doprowadzeniu pomieszczeń do porządku. Gestapowcy i w tym wypadku uciekają się do pomocy psów, aby przynaglić więźniów do roboty. W tym celu szczują oni na brodzących po kolana w zimnej wodzie Polaków sforę psów, które chwytają więźniów za karki, szczerząc ostre kły. Gestapowcy, śmiejąc się do rozpuku z przerażonych twarzy napadniętych ofiar swoich, w ostatniej chwili odwołują psy i głaszczą je za tak doskonałe wykonywanie rozkazów. Okrucieństwo swoje posuwają Niemcy do wielokrotnego powtarzania takich scen.

Published with the assistance of Polish Information Center, New York.